

GRABARZE.

A 188
A 303

Jożef Rogoż.

GRABARZE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Część I.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1892.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Июля 1891 года.

Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

I.

Pani radozyni Emilia z Birmanów Darska
dom poświęca.



Na rynku miasta obwodowego ciemno, że oko wykol. Wicher gwałtowny, zerwawszy się niespodziewanie późnym wieczorem, pogasił latarnie, oddawna potłuczone, tak, że zostały tylko dwie, na rogach dwóch większych ulic, a i te ledwie dyszą; światła w oknach, przysłoniętych storami i firankami, nie rozjaśniają nawet chodników; w sklepach gaszą lampy jedną po drugiej, bo na ratuszu wybiła właśnie dziewiąta, która w miasteczku prowincjonalnym jest godziną tak samo poważną, jak w stolicy dwunasta.

Wicher świszczy, drobny deszczyk siecze po szybach, nigdzie żywej duszy nie widać; cały rynek robi wrażenie milczącego cmentarzyska, pośród którego, niby nagrobek olbrzymi, stoi ratusz z wieżą wysoką. W nim wszystkie okna czarne. Zato na samym dole, pod kolumnadą ciężką, niekształtną, o której inżynier powiatowy z dumą mawiał, że jest arcydziełem jego geniuszu, wisi u sklepienia malutka latareczka. Pod nią, krokiem miarowym, marząc o wiosce dalekiej i cha-

cie ze starości pochylonej, którą niedawno musiał porzucić, przechadza się młody rekrut z bronią na ramieniu. To strażnica wojskowa.

Nagle, w jednej z ulic pobocznych, dał się słyszeć turkot; niedługo potem wjechał na rynek, skacząc po jego bruku nierównym, powóz napół kryty, który musiał należeć do zabytków odległej starożytności, ponieważ wszystko w nim trzeszczało, skrzypiało, dzwoniło. A snąc i konie, co go ciągnęły, niemało przebyły, skoro ucho wprawne po samym takcie, jaki podkowami na kamieniach wybijały, mogło poznać, że z nich żaden nie miał ani jednej zdrowej nogi. Mimo to szły rażno, woźnica bowiem dodawał im animuszu ciągłym bata wywijaniem, któremu towarzyszyło głośnie: „Wio! Wio!”

Gdy powóz przez rynek przejeżdżał, dążąc na ulicę Pańską, w oknach kilku kamienic ukazały się postacie niewyraźne, które, głowy do szyb przytknąwszy, zdawały się śledzić jego kierunek. Po jakimś czasie zjawił się drugi ekwipaż, jeszcze mniej okazały niż pierwszy, po nim dwa wózki, na których siedzące osoby, jakby pod działaniem prądu elektrycznego, wciąż w górę podskakiwały. Wszystkie te wehikuły podążyły śladem pierwszego.

Teraz, jakby na dany znak, zaczynają się w kamienicach drzwi otwierać, i oto wychodzą mężczyźni w kaloszach, z podniesionymi kołnierzami u paletotów; damy w sukniach podpiętych wyżej kostek, nad którymi mężowie i bracia niosą parasole; panny w króciutkich kabacikach, kręcące się, mimo chłodu, jak wrzeczona, przyczem półsłówkami zaczepiają nieśmiałych kawalerów, którzy, obok nich krocząc, zasłaniają je także swemi parasolami. Wszyscy oni ciągną sznurkiem do jedyniej latarni, dotąd świecącej, która na rogu ulicy Pańskiej drogę im pokazuje.

— Boję się, Maurycy, czyś się nie omylił... może to nie była prezydentowa — przemówiła dama niska